

Głos Dwubrzeża

Oficjalny magazyn
11. Festiwalu Filmu
i Sztuki Dwa Brzegi
Kazimierz Dolny,
Janowiec nad Wisłą

Środa 2 VIII 2017

- 
- Holland
 - Pągowski
 - Haneke
 - Cacek

Dzieło sztuki dla każdego

Praktycznie od początku swojej drogi artystycznej związany był z tradycjami polskiego plakatu.

Spora część prac stworzonych dla polskiego filmu jest podpisana jego nazwiskiem. Kieślowski, Wajda, Kijowski – to tylko kilkoro spośród polskich reżyserów, dla których zaprojektował plakaty-zagadki, dające szersze spojrzenie na sztukę filmową. Z Andrzejem Pągowskim rozmawiała Ewa Stasińska.

Ewa Stasińska: Jaki jest Pana ulubiony krój czcionki?

Andrzej Pągowski: Ręczny. Krój liter to jest coś, czego nigdy nie lubiłem. Debiutowałem w 1977 roku i wówczas nie było żadnych profesjonalnych urządzeń do typografii. Plakaty opisywało się ręcznie i w pewnym momencie wytworzyłem sobie własny styl opisywania. Zaproponowano mi nawet zaprojektowanie fontu na bazie tego stylu, ale nigdy mnie to nie pociągało. Do upadku Muru Berlińskiego mieliśmy dużą wolność artystyczną i artysta sam tworzył klimat plakatu. Po 1989 roku pojawił się klient komercyjny, który wymaga czytelności napisu – wtedy zacząłem współpracować z typografami. Teraz pracuję z Magdą Błażków, która od 6 lat jest odpowiedzialna za napisy na moich pracach. Bardzo dobrze nam się układa, jesteśmy trochę jak para Lennon-McCartney – taki twórczy duet. Ten układ jest bardzo ekscytujący.

Czy paradoksalnie w okresie komunizmu artyści byli bardziej kreatywni?

Przede wszystkim było się bardziej wychulonym na delikatne brzmienie w grafice: na styl, kreskę, pomyłkę. Dzisiaj młodzi graficy bardzo „czyszczą” obraz. Kiedy oglądam prace na targach młodego designu często wyglądają one, jakby były zrobione przez tego samego grafika. Większość grafików skupia się na grafice wektorowej i z tego powodu tworzą oni podobnie. W latach, w których ja zaczynałem, nie było takiej sytuacji, żeby znany, mocno osadzony w realiach grafik, nie próbował znaleźć własnej kreski, własnego charakteru pisma, i sposobu na „oderwanie się”. Porównując prace Tomaszewskiego, Urbańca, Świerzego, Lenicy i Starowiejskiego nie znajdziemy żadnego podobieństwa – tak różne są to „kroje pisma”. Dzięki Waldemarowi Świerzemu bar-

dzo szybko się rozwijałem artystycznie, natomiast środowisko mnie nie akceptowało. Dość szybko związałem się z tymi największymi w dziedzinie, ale nie ograniczałem własnego stylu, żeby wiadomo było: „to jest Pągowski”, tylko cały czas poszukiwałem. Podświadomie przygotowywałem się do 1989 roku i do tego, że do Polski przyjdzie reklama. Ludzie twierdzą, że jestem rozpoznawalny, i być może tak jest, ale nigdy nie szukałem własnej szufladki.

Czy myśli Pan, że jest szansa na powrót plakatu artystycznego?

Wszystko zależy od odbiorcy. Wielu twierdzi, że chcą plakatu artystycznego – takiego, który mogliby odkupić w galerii, powiesić sobie w domu, bo to wciąż jest najtańszy sposób na dekorację mieszkania. Tak naprawdę myślę, że to właśnie zapoczątkowało moje zainteresowanie plakatem. Wielu moich rówieśników dowiadywało się dzięki plakatom o wydarzeniach kulturalnych. Swoje pierwsze plakaty kupiłem w podstawówce od rozklejacza. To były dzieła sztuki – graficy z tamtego pokolenia byli malarzami z krwi i kości, więc tak naprawdę nie robili nic innego, niż obrazy z liternictwem, które wisiały na ulicach. Jeżeli ludzie stwierdzą, że potrzebują plakatu artystycznego i zaapelują, żeby nie robić z nich idiotów, to plakat artystyczny ma szansę na drugie życie. W ustawie PISF-u jest taki zapis, który mówi, że twórcy filmu przez nich dofinansowanego mają obowiązek stworzenia plakatu artystycznego, i w związku z tym instytucja przedłuża „życie filmu”.

Powiedział Pan kiedyś, że najlepiej się Panu pracuje, kiedy ma Pan 24 godziny na oddanie zlecenia.

Moja żona nawet śmieje się, kiedy przyjmuję zlecenia z długimi terminami. Pyta, po co w ogóle to robię. Nie wiem na czym to polega, ale ten chłód terminu powoduje we mnie spieczę. Rzadko kiedy męczę jeden plakat kilka dni – zazwyczaj są to 24 godziny. W latach 70. robiłem tyle plakatów, że teraz, kiedy na nie patrzę, nie jestem w stanie stwierdzić, kiedy stworzyłem daną pracę. Jestem chodzącym szkieletnikiem, często zresztą używam w tym celu telefonu.

Jest Pan minimalistą?

Chyba nie. Jestem adehadowcem – Kocham ten stan i nie wyobrażam sobie siebie siedzącego na poddaszu i malującego obrazki.

Jak ważna jest dla Pana typografia w plakacie?

Bez niej nie ma plakatu, ale w moich pracach zawsze towarzyszy grafice i jest jej podporządkowana. Kiedy robiłem napisy ręcznie, to były one bardziej związane z plakatem. Dzisiaj grafika i typografia stoją obok siebie. W naszych projektach staramy się z Magdą, żeby całość była spójna, ale nie jest to to samo, co obserwowaliśmy do 1989 roku, kiedy ręczny tekst wypełniał wolne miejsce na obrazku.

A jak się Panu podoba w Kazimierzu Dolnym?

Jestem tu pierwszy raz, ale trochę już poznałem tutejszą atmosferę i bardzo się cieszę, że Grażyna Torbicka wyszła z inicjatywą przybliżania widzom kultury. Artysta był zawsze kimś, kto odkrywał przed innymi piękno i estetykę.

Rozmawiała: Ewa Stasińska



Kino to osobowości

Agnieszka Holland jest jednym z najsilniejszych głosów w zarówno w polskiej, jak i światowej kinematografii. Deklaruje, że chce robić „kino środka”, zrozumiałe dla widzów, a jednocześnie poruszające ważne tematy. W jej filmach główni bohaterowie są z góry skazani na porażkę, ale mają wystarczająco dużo siły, aby poradzić sobie z przeciwnościami losu. Reżyserka zdradza nam, czy chciałaby być superbohaterem i kto był jej pierwszą wielką inspiracją.

Magdalena Rudnicka: Na festiwalu Dwa Brzegi poprowadziła Pani Lekcję kina. Co jest Pani zdaniem najważniejsze w edukacji młodych ludzi, aspirujących do bycia filmowcami?

Agnieszka Holland: Bardzo wiele rzeczy. Na pewno powinni oni wiedzieć, jak się operuje kamerą, oświetla plan, prowadzi aktorów. Ale najważniejsze, żeby mieli coś do powiedzenia, nie bali się być sobą i robili filmy o tym, co jest ważne.

Wiele osób stawia sobie Panią za wzór w swojej filmowej edukacji. Czy podczas studiów Pani także miała swego mistrza?

Kilku czeskich reżyserów uczących w FAMU było dla mnie szczególnie ważnych. To było pokolenie, które miało ogromny talent i to właśnie oni byli dla mnie inspiracją do studiowania w Pradze. Mówię tu między innymi o Milošu Formanie. Po powrocie do Polski był to oczywiście Andrzej Wajda, którego filmy oglądałam od dziecka. Andrzej był moim producentem, a ja pisałam dla niego scenariusze. W końcu został moim przyjacielem, a ja bardzo dużo się od niego nauczyłam. Uczylam się również od moich rówieśników, takich jak Kieślowski, z którym również bardzo się zaprzyjaźniłam. W pokoleniu Wajdy było wielu światowej sławy reżyserów, którzy mieli sporo do powiedzenia i potrafili przełożyć to na język filmu. Jednak w pewnym momencie człowiek przestaje się oglądać na innych i podąża własną drogą. Choć oczywiście każdy



dobry film, który oglądam, jest dla mnie inspiracją, z której czerpię radość.

Jako przewodnicząca Europejskiej Akademii Filmowej jest Pani ambasadorką europejskiego kina. Ma ono wiele twarzy – od Hanekego, przez von Triera, po Bergmana. Co według Pani jest spoiwem europejskiego kina, elementem łączącym je i pozwalającym dookreślić?

Kino europejskie jest właśnie kinem reżyserów, twórców. Mamy bardzo silne, osobiste filmowe głosy. W tych osobowościach tkwi jego siła. Trochę zatraciło ono jednak umiejętność opowiadania historii. Myślę, że nad tym musimy teraz popracować, żeby odzyskać szerszą widownię.

W kinie popularnym mamy z kolei wysyp filmów superbohaterskich. Jakim superbohaterem chciałaby być Agnieszka Holland?

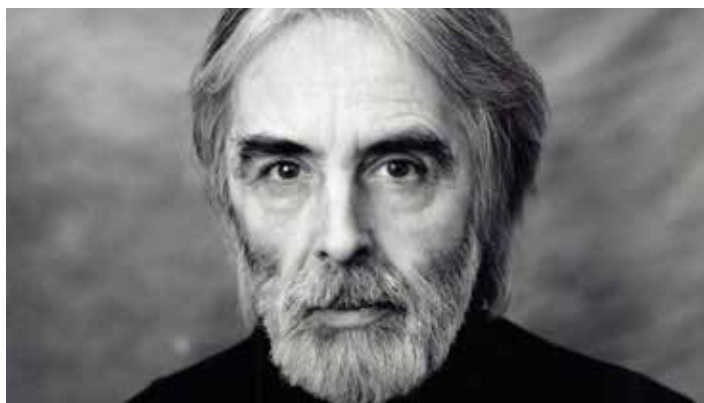
Chyba w ogóle nie chciałabym być superbohaterem. Wystarczy mi, że mogę robić to, co robię, i jestem z tego zadowolona. Choć czasami zdarzają się sytuacje, w których supermoce bardzo by się przydały – ale one przecież nie istnieją. Najważniejsze, żeby być dobrym człowiekiem – to jest prawdziwa supermoc.

Rozmawiała: Magdalena Rudnicka

Czy warto oglądać filmy Michaela Hanekego?

Przestrzegam – naprawdę nie warto! Przecież to, że dwa razy zdobył Złotą Palmę (też mi coś), jeszcze nic nie znaczy.

Jak śpiewa Kaliber 44, ten artykuł to „ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem”. Może obilo się wam o uszy, że tegoroczna retrospektywa na Dwóch Brzegach poświęcone jest austriackiemu reżyserowi Michaelowi Hanekeemu. Niektórzy będą Wam wmawiać, że to klasyk i trzeba go znać; że to pozycja obowiązkowa. Nie dajcie się zwieść, ani tymbardziej wpędzić w spiralę depresji – przecież nie musicie znać jednego z najbardziej cenionych europejskich twórców.



Haneke kręci filmy jak samo życie. Nie boi się pokazać jego brzydoty – i głównie brzydoty. Podczas gdy na siłę szukamy ucieczki od rzeczywistości, z pewnością nie znajdziemy jej w filmach Hanekego.

Haneke jest szczerzy. Nie lukruje świata przedstawionego. To nie jest typ twórcy, którego dzieło chcecie zobaczyć na prywatce ze znajomymi. To nie typ, do którego dzieł wracacie z nostalgią i oglądacie podczas wolnego popołudnia. Haneke wyklada kawę na ławę, prawdę przed oczy i – czy tego chcecie, czy nie – przypominać sobie, że życie tak właśnie wygląda. Haneke trzaśnie Was rzeczywistością po twarzy, a Wy, czując pieczenie na policzku, będziecie wiedzieć, że taka jest prawda o ludziach.

Haneke jest smutny. Raczej nikogo nie rozweseli. Razem z naszą nadzieją na ocalenie bohatera umiera sam bohater, zazwyczaj w jakiś niezbyt przyjemny sposób, ale nie nieprzyjemny w stylu *gore* czy *body horroru*. Haneke nie ma litości dla kobiet ani dzieci, ale nie jest to brak litości w stylu „Mad Maxa”. Nikt tutaj nie zostaje złożony w ofierze na ołtarzu bezlitosnej fabuły – chodzi raczej o to, że przemoc dotyczy każdego i każdego może spotkać, choć zazwyczaj przydarza się słabszym.

Haneke jest sugestywny, ale nie wulgarny – nie atakuje widza, ale usypiając jego czujność potrafi w minutę zgotować mu ekranowe piekło.

No i kto by to chciał oglądać?

P.S. Wiadomo, że wszyscy oglądamy jego filmy. To przecież za tę konsekwencję i spójny styl cenimy Michaela Hanekego.

Martyna Poważa



Uff, jak gorąco!

Kazimierz Dolny w samo południe. Przed Małym Kinem ustawia się całkiem pokaźna kolejka ludzi, którzy chcą posłuchać Lekcji Kina w wykonaniu Agnieszki Holland.

Po plecach każdego spływa ją strużka potu, bo temperatura przekracza 35 stopni Celsjusza. Mimo wszystko festiwalowicze się nie poddają. Przyzwyczajeni do tego, że każdego roku na Dwóch Brzegach polskie lato przybiera postać kalifornijskiego upału, wypracowali metody, dzięki którym żadna pogoda nie jest im straszna.

Zacznijmy od rzeczy oczywistych, czyli kwestii ubraniowej. Wstając wcześniej rano, nie mamy wątpliwości, że delikatne wówczas słońce wkrótce zamieni się w zięjącą ciepłem kulę, wiszącą nad naszymi głowami. Wtedy zapadają pierwsze radykalne decyzje. Dżinsy? Zdecydowanie nie. Długi rękaw? W życiu! Wyciągamy z walizki najcięższą (i najlżejszą jednocześnie) możliwą artylerię: szorty, top i sandały. Oczywiście niektórzy panowie preferują tak zwane „skardały”, które są niezbyt zgrabnym połączeniem skarpet i sandałów, ale jeśli tak radzą sobie z gorącem – w to im graj. Wśród pań niezwykle popularne są zwiewne, letnie sukienki z odkrytymi ramionami. W kolorystyce panuje przede wszystkim biel. Bawełniane koszulki, najlepsze na upały, możemy nosić w różnych wariantach: podwinięte do góry lub nonszalancko obcięte do połowy nożyczkami. Dla wszystkich nieprzygotowanych na tropikalną pogodę, z pomocą przychodzi liczni kupcy na straganach i w sklepikach z odzieżą. Można tam wybierać spośród dziesiątek modeli koszul, bluzek, sukienek i T-shirtów, uszytych z cienkiej bawełny

albo lekkiego lnu. Sama mam ochotę skusić się na taką praktyczną pamiątkę i kupić ciuszek w butik „U Joanny”, tuż przy dużym Rynku!

Kiedy już wybierzemy nasz przewiewny *outfit*, czas zadbać o fryzurę. O ile panowie mają zazwyczaj dość ograniczone pole do popisu, o tyle długowłose panie kombinują jak mogą. Gdy już odepchną od siebie kuszącą, aczkolwiek dramatyczną chęć zgolenia głowy na łyso, szukają mniej radykalnych rozwiązań. Najczęściej jest to po prostu kucyk albo równie popularna cebula. Bardziej pomysłowe panie wiążą włosy kolorowymi chustami lub spinają ogromnymi spinkami. Wśród straganów pojawiła się także moda na wianki, ale ten trend raczej nie sprawdzi się w „celach antypotowych”.

Na szczęście przed upałem chroni nas nie tylko odpowiednie ubranie, ale w pewien sposób również układ miasta. Kazimierz oferuje mnóstwo małych uliczek i zaułków, w których możemy schować się przed promieniami słońca. Z kolei na dużym Rynku, ku uciechu najmłodszych, ustawiono wodną kurtynę, która przyjemnie schładza rozgrzane ciała. W czasie upałów nie zapominajmy oczywiście o nawadnianiu organizmu. A nie tak przecież nie nawadnia, jak lokalny, zimny browar, wypity w towarzystwie innych Festiwalowiczów. Oprócz chłodnego piwka, taką rolę spełniać może również orzeźwiająca cytrynowa lemoniada, mrożona herbata i *frappe*.

Jednym z najmłodniejszych gadżetów letniego festiwalu są wachlarze w różnych designerskich wariantach, wyjątkowo przydatne podczas oglądania filmów w kinowym namiocie. Każdy, kto owego wachlarza nie posiada, może z łatwością ochłodzić się wachlując festiwalowym programem.

Dla spragnionych wakacyjnej, urlopowej atmosfery prosto znad wody, Kazimierz oferuje nadwiślańską plażę. Po kilku inten-

sywnych godzinach spędzonych nad rzeką złota opalenizna gwarantowana! Co odważniejsi naborą zapewne ochoty na odświeżającą kąpiel, ale bardzo możliwe, że spotkacie szczurzą rodzinę, która przemyka co jakiś czas po płytce mieliźnie. Nie zapominajmy również o cumujących przy bulwarach bar-kach, na pokładzie których można wybrać się w niezwykle malowniczy rejs i poczuć przyjemny wiatr we włosach.

Wieczorem, gdy temperatura stopniowo spada, a rozżarzone słońce zniża się ku horyzontowi, rozpoczyna się najprzyjemniejsza klimatycznie część dnia. Przeżyliśmy kolejny dzień tropikalnej aury! Do relaksu zaprasza kino plenerowe, a po seansie festiwalowy klub. Tam już nikt nie pamięta o trudach dnia, bo zaczyna się gorączka festiwalowej nocy.

Jak widać dwubrzegowa publiczność radzi sobie w każdej sytuacji i żadne upały nie odstraszą widzów od czynnego udziału w Festiwalu. Ostatecznie wszyscy pocimy się kolektywnie i jedziemy na tym samym wózku!

Magdalena Rudnicka

KONCERTY ŚRODA 02.08.2017

- 16.30 CZARNA RZĘKA** Katarzyna Wińska, Witold Roy Zalewski **MIĘĆMIERZ, GALERIA KLIMATY**
- 18.30 MERCEDES BORGUŃSKA Z BRACMI MIĘĆMIERZ, TARAS WIDOKOWY POD WIATRAKIEM**
- 20.00 MAJA KLESZCZ I KWARTET PROWINCJONALNY – DUDZIE-GRACZOWI DUŻY RYNEK KAZIMIERZ DOLNY**

Kilometry taśm filmowych

Filmoteka Narodowa zgromadziła przez lata gigantyczne archiwa, które składają się na kilometry półek magazynowych z filmami, nierealizowanymi scenariuszami, protokołami kolaudacyjnymi, materiałami zdjęciowymi i plakatami – mówi Dariusz Wieromiejczyk, dyrektor Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego.

Mateusz Demski: Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny to całkiem nowy twór powstały z dwóch niezależnych dotąd podmiotów. Może Pan powiedzieć coś więcej o tej fuzji?

Dariusz Wieromiejczyk: Nie określiłbym FINA „tworem”, ponieważ mogłoby być to dość deprecjonujące. Ale rzeczywiście mówimy o nowej instytucji powstałej dwa miesiące temu z połączenia Filmoteki Narodowej z Narodowym Instytutem Audiowizualnym. Obie były ze sobą na tyle kompatybilne, że uznaliśmy, iż dzięki fuzji ich kompetencji uzyskamy dużo większą efektywność, czy to pod względem organizacyjnym, czy technologicznym.

Czym zatem zajmuje się FINA?

Szeroko pojętą kulturą cyfrową. Jesteśmy odpowiedzialni za digitalizację, archiwizację i konserwację ogromnych archiwów, a także edukację i upowszechnianie naszych zbiorów w internecie. Kolejnym obszarem działań jest koprodukcja audiowizualna, udział w produkcjach filmowych, a także ścisła współpraca z festiwalami filmowymi. Dwa Brzezi są jednym z takich wydarzeń.

Wspomina pan o bogatych archiwach. Co kryją zbiory Filmoteki Narodowej?

Mówimy o największym zbiorze filmowym w Polsce. Filmoteka zgromadziła przez lata gigantyczne archiwa, które składają się na kilometry półek magazynowych z taśmami filmowymi, nierealizowanymi scenariuszami, protokołami kolaudacyjnymi, materiałami zdjęciowymi i plakatami. Trudno to wszystko ująć w słowa, tym bardziej, że prawdziwa inwentaryzacja wciąż przed nami. Ale kiedy dokonamy już skrupulatnej digitalizacji, wszystkie materiały będą dostępne w naszych bibliotekach internetowych.

Rozmawiał: Mateusz Demski

Premiera rekonstrukcji cyfrowej filmu „300 mil do nieba”, reż. Maciej Dejczer w piątek o godz. 14.45 w Kinie Lubelskim

Spotkanie z twórcami filmu „300 mil do nieba”, w piątek o godz. 17:00 w Black Red White Cafe



Pamięć złotej rybki, czyli Alzheimer zdekonstruowany

Nazwisko reżyserki filmu brzmi trochę znajomo. Carper to prawie jak Carpenter – i trzeba przyznać, że na tym podobieństwa się nie kończą. Przenikliwa dziennikarka zajmuje się tematami dla wielu nie mniej straszniejszymi niż atmosfera filmu „Coś”.

„Potwór w mojej głowie” to historia plagi XXI wieku: choroby Alzheimera, która w swoich prognozach brzmi przerażająco – wyobraźcie sobie ludzi krążących po ulicach bez pamięci o tym, kim są. Jean Carper zagłąda jednak pod płaszczki ponadnarodowej paranoi, która szerzy się za pośrednictwem różnorodnych kanałów medialnych. Przy użyciu satyrycznej formy autorka komentuje doniesienia na temat Alzheimera jako „potwora w głowie”, będącego swojego rodzaju straszakiem.

Film jest unikalny nie tylko dzięki formie i tematowi, o jakim opowiada, ale także dlatego, że reżyserka sama na sobie testuje różnorakie metody walki z chorobą – zarówno medyczne, jak i pozamedyczne. W wieku 69 lat zdiagnozowano u niej główny gen identyfikowany z chorobą i to popchnęło ją do zgłębienia tematu, o którym poniekąd wypowiedziała się już wcześniej. Carper jest bowiem autorką książki „Stop Aging Now!”, sprzedawanej jako „metoda na powstrzymanie starzenia”.

Odkrycia, których dokonuje podczas swojego śledztwa, dają nadzieję na to, że mimo braku lekarstwa na Alzheimera nie wszyscy chorzy muszą podzielić los Alice Howland z filmu „Motyl Still Alice”. Co ciekawe okazuje się, że o zdrowie naszego mózgu możemy zadbać już od dziś – włożony wysiłek na pewno się opłaci.

Martyna Poważa

„Potwór w mojej głowie”, reż. Jean Carper
projekcja o godz. 15.00, Kino Lubelskie

BLACK RED WHITE CAFE ŚRODA 02.08.2017

- 12.00 NIESFILMOWANI MACIEJ PŁAZA
- 14.00 MIEJSCE MA ZNACZENIE REGIONALNE FUNDUSZE FILMOWE
- 15:30 POLSKA SZKOŁA DOKUMENTU MARCIN KOSZAŁKA
- 17.30 DOBRZE GRUPA IMPROWIZACJI TEATRALNEJ
- 18.45 ZWIERZĘTA SPOTKANIE Z TWÓRCAMI

Odkąd pamiętam rysowałem samochody

Zwierzęta, które spełniają rolę bohaterów, to jedna z najbardziej charakterystycznych cech filmów animowanych. Oczywiście przy tej okazji mógłbym wymienić wielu swoich mistrzów, ale osobą, która wywarła na mnie największy wpływ, był John R. Dilworth, czyli twórca m.in. serialu „Chojrak – tchórzliwy pies” – mówi Wojciech Cacek, reżyser filmu „Kurza Twarz!”, który bierze udział w Międzynarodowym Konkursie Filmów Krótkometrażowych.

Mateusz Demski: „Pełna absurdałnego poczucia humoru animacja nawiązująca do „Zbrodni i kary” Fiodora Dostojewskiego”. Zgadzasz się z tym stwierdzeniem?

Wojciech Cacek: To właściwie spostrzeżenie jednego z moich znajomych, który dostrzegł pewne powinowactwo między moim filmem a powieścią Dostojewskiego. Ale to podobieństwo przypadkowe. Pracując nad „Kurzą Twarzą!” nie zależało mi na tak daleko idących podtekstach. Skupiałem się głównie na motywie zwierzęcym.

Który pojawia się także w Twoim poprzednim filmie „Kret”. Skąd takie inspiracje?

Zwierzęta, które spełniają rolę bohaterów, to jedna z najbardziej charakterystycznych cech filmów animowanych. Oczywiście przy tej okazji mógłbym wymienić wielu swoich mistrzów, ale osobą, która wywarła na mnie największy wpływ, był John R. Dilworth, czyli twórca m.in. serialu „Chojrak – tchórzliwy pies”. To człowiek, dla którego nie ma żadnych granic; po prostu rysuje to, co przyjdzie mu do głowy.



A co przychodzi do głowy Wojciechowi Cackowi po realizacji „Kurzej Twarzy!”?

Kolejny film będzie zupełnie inny od poprzednich. Nie mogę jeszcze zdradzić szczegółów, ale na pewno będzie to opowieść o ludziach i ich samochodach. W tym kontekście powinienem zacytować prof. Cezarego Nawrota, polskiego konstruktora i projektanta, który zawsze powtarzał, że odkąd pamięta rysował jakieś samochody. Motoryzacja to również moja pasja, którą chce zaprezentować w następnej animacji.

Rozmawiał: Mateusz Demski

„Kurza Twarz!” w reż. Wojciecha Cacka jest prezentowany w ramach Międzynarodowego Konkursu Filmów Krótkometrażowych w Małym Kinie o godzinie 10.00.

Inaczej niż w raju

Sycylia, forteca Europa. To właśnie w tym wielkim ośrodku asymilacyjnym imigranci z krajów Afryki i Azji uczęszczają na lekcje, które mają przygotować ich do życia na Starym Kontynencie.

Valentij Dhaenens – profesjonalny aktor, tutaj pełniący funkcję nauczyciela – już na samym wstępie wyklada kawę na łąwę. „Europie daleko do raju, o którym marzyliście i nie każdy z was jest tutaj mile widziany” – zdaje się mówić Dhaenens swoim „kursantom”.

Twarde fakty i marzenia o lepszym jutrze ściągają się jeszcze bardziej wraz z serią niewygodnych pytań. Wszystkie odpowiedzi imigrantów są skrupulatnie analizowane i to one decydują o przyznaniu im azylu politycznego.

Stawką eksperymentu ukazanego w najnowszym filmie Guido Hendrikxa jest zatem przyszłość osób, które chcą dosięgnąć pomocnej dłoni. Niestety większość z nich nie będzie mogła liczyć na pomoc. Z grupy dwudziestu osób po serii rozmów z nauczycielem zostanie wyselekcjonowana tylko czwórka, która otrzyma dziką kartę pozwalającą uzyskać pozwolenie na pobyt w Europie. Przesiew Dhaenensa ukazuje bilans zysku i strat dokonywany przez „cywilizowanego” człowieka; kalkulację opartą o strach, a także wygodę Europejczyków. Balansujący na granicy dokumentu i fikcji film „Obcy w raju” odzwierciedla kierunki współczesnej debaty publicznej dotyczącej powinności Europy wobec osób pukających do naszych drzwi.

Mateusz Demski

„Obcy w raju”, reż. Guido Hendrikx
projekcja o godz. 14.00, Małe Kino



Magia kina i klekoczące projektory

Nie wszyscy pamiętają, że poza widzami w sali kinowej znajduje się ktoś jeszcze. O perspektywie kinooperatora i magii klekoczących projektorów opowiada Sebastian Spryszyński, który od czterech edycji współpracuje z festiwalem Dwa Brzegi jako serwisant techniczny.

Katarzyna Karpińska: Cały czas spędzasz w kabinie projekcyjnej. Czy czasem oglądasz też filmy?

Sebastian Spryszyński: Oglądam, ale nie wszystkie. Jestem dosyć wrażliwy i niektórych filmów nie mogę oglądać, bo za mocno się denerwuję. Ale są też takie, które chcę bardzo zobaczyć i jak jest taka możliwość, to je oglądam.

Czy z kabiny projekcyjnej w ogóle coś widać?

Mamy podgląd na to, co się dzieje na sali. Jest kamera w okienku projekcyjnym, więc jeśli wykadrujemy sobie ekran, to możemy zobaczyć całą projekcję. Jest również odsłuch, więc w ogóle nie ma z tym problemu.

Jak zaczęła się Twoja praca w kinie?

Zaczynałem swoją karierę od zmiotki w multipleksie, a potem awansowałem i trafiłem do kabiny projekcyjnej jako dochodzący, czyli kinooperator, ale niższy rangą od zwykłego operatora, i właśnie taki dochodzący uczy się wszystkiego od starszych, którzy już mają doświadczenie. Po dwóch latach wskoczyłem na stanowisko operatora. Z relacji wszystkich słyszałem, że taki awans to jak „chwycić Boga za nogi” – co jest prawdą. Praca jest dosyć przyjemna i nieszczerólnie trudna. Kiedyś, przy projekcjach analogowych z taśmy 35 mm było trudniej.

Jakie są różnice między projekcją filmu analogowego i cyfrowego?

Przy projekcjach analogowych łatwiej o błąd. Trzeba patrzeć, którą stroną zakładamy taśmę. Musimy uważać, bo bardzo łatwo ją zarysować. Poza tym waga takich kopii dochodziła często do 30 kilogramów, a ich długość to nawet 7 kilometrów. Obsługa projektora cyfrowego jest dużo prostsza – w zasadzie klikasz play i pauzę.

Miałeś jakieś nieoczekiwane sytuacje podczas projekcji?

Filmy bardzo często rwały się albo spadały z platerów, czyli wielkich metalowych talerzy, na które kładzie się taśmę. Zawsze, gdy było ciepło, takie filmy wręcz pływały na platerach. Wiele kopii było też bardzo zaniedbanych i docierały do kina w fatalnym stanie. Przy cyfrze to się nie zdarza. Serwery są fajnym rozwiązaniem, ale analogi miały „magię”. Klekotały. Słyszałem, gdy rolki się zmieniają – to charakterystyczny dźwięk. Teraz tego nie ma.

Czy różnica w jakości też jest tak duża?

Wszystko zależy od technologii, w jakiej kopia jest wykonana. Jeśli jest dobra, tak jak w wypadku „Incepcji”, którą graliśmy w multipleksie, trudno rozpoznać, że to analog. Pamiętam, że był to ostatni okres, w którym kopie analogowe były dostępne. Teraz są już wycofane.

Skąd to wszystko wiesz? Miałeś nauczyciela, który przekazał Ci całą wiedzę?

Byłem samoukiem i często sam naprawiałem sprzęt w kinie. Później nastąpiły takie czasy, że ludzi zastępował serwer TMS, który obsługiwał całe kino, a kinooperatorzy przestali już być potrzebni. To jest naprawdę wymierający zawód.

Więc czemu się na niego zdecydowałeś?

Ponieważ w domach kultury, gdzie są jednosalowe kina, nie ma TMS'ów. Tam ciągle potrzebni są ludzie. Tak naprawdę teraz, gdy w kabinach jest mniej ludzi, problemy pojawiają się częściej.

Ile jest osób w takiej kabinie projekcyjnej?

W domach kultury, albo w kinach studyjnych są dwie osoby. Ale są jeszcze w niektórych miejscowościach, jak Zamość czy Siedlce, kina, gdzie jest po trzech operatorów i jeszcze jedna osoba, która im pomaga, bo oni się tych TMS'ów strasznie boją.

W jakim wieku są tacy pracownicy?

W domach kultury są to zwykle trochę starsi ludzie, z którymi można się łatwo zaprzyjaźnić. To jest magia, której w multipleksach już nie ma. Oni w zasadzie smakowali tego wszystkiego od samego początku, pracując przy projektorach. Mają bardzo duży багаż doświadczeń, są bardzo pokorni i potrafią słuchać.

Jakie jeszcze cechy musi mieć dobry kinooperator?

Nie ma reguły. Spotykałem różnych ludzi. Kiedyś, gdy odbywały się projekcje analogowe, nie zatrudniano do tego kobiet, bo kopie były bardzo ciężkie. Choć słyszałem, że gdzieś w kinie była jakaś rośla kobieta, co wrzucała takie filmy na plater, ale to była rzadkość. Tak, teraz w kabinach projekcyjnych można spotkać dużo więcej kobiet.

Na czym jeszcze polega ta praca?

Na wgrzywaniu kopii, sprawdzaniu licencji. Aby dystrybutor miał pewność, że dana projekcja odbywa się w konkretnym czasie, wysła nam licencję na tę określoną godzinę. To są bardzo rygorystyczne zasady. Ale poza tym nie ma szczególnie dużo takich obowiązków. To raczej praca siedząca – kinooperator siedzi podczas projekcji w kabinie i czeka na koniec filmu.

Czym różni się to od pracy na festiwalu?

Tutaj wszystko robi się na sygnał. Wszystko musi być profesjonalnie zrobione i musimy bardziej kontrolować naszą pracę, aby nie dopuścić do żadnego błędu. Na projekcje przyjeżdżają twórcy filmów, którzy często też czegoś wymagają.

Jak określiłbyś swoją funkcję?

Jestem osobą, która odtwarza filmy. Kontroluję sprzęt. Pod stolikiem mam nawet serwer własnej roboty, żeby w razie potrzeby mógł zastąpić ten, który funkcjonuje teraz. Jestem tutaj aniołem stróżem.

Rozmawiała Katarzyna Karpińska





Głodny juror to zły juror!

Nie samym kinem człowiek żyje! Jak człowiek głodny, to zły. Na głodniaka nie ma co chodzić na filmy – percepcja zawsze będzie zaburzona, a na Dwóch Brzegach ocenia je przecież widz.

Dzień należy zacząć dobrą kawą. Cieszę się, że w Herbaciarni U Dziwisza nikogo nie dziwi, kiedy proszę o czarną z lodem i cytryną. Kuszają mnie czekolady z manufaktury, ale musiałabym od razu zjeść całą, bo w tym upale wszystko się topi. Smalec na straganach przy miasteczku festiwalowym też, dlatego przyjemność zjedzenia pajdy swojskiego chleba z tym przysmakiem odkładam na wieczór. Śniadanie to najważniejszy posiłek w ciągu dnia. Shakshuka?

Naleśniki? Parówki i jajecznica? Najlepiej wszystko na raz! Lubię szwedzki bufet, bo zawsze mam problem z podjęciem decyzji.

Kazimierz Dolny to miejsce, w którym warto sięgnąć po pozycje z kuchni żydowskiej. Niemal w każdej knajpce znajdziecie jakiś żydowski specjal – od macy, przez farfelki, po gęsi pipek. Niedaleko znajduje się restauracja Bajgiel, więc u mnie na talerzu ląduje „dziurawa bułka” w wersji „na słodko” – z białym serem i konfiturą pomarańczową.

Pora obiadowa. Zielona Tawerna jest wypełniona ludźmi. Nic dziwnego, bo jedzenie w otoczeniu pięknego ogrodu to czysta przyjemność. Nic to – i tak nie jestem zbyt głodna. Wszystko za sprawą upału, który daje się we znaki. Ale zaraz! Jestem dorosła, więc kto mi zabroni na obiad zjeść lody? Po te można przejść na drugą stronę ulicy, gdzie przy pokojach gościnnych i restauracji „Joanna”, serwowane są lody własnej produkcji.

Na deser można sięgnąć po wspomnianą wcześniej kromkę z domowym smalcem i ogórkiem albo poczekać z tym do wieczora i spróbować tej przystawki w festiwalowej knajpce „U Fryzjera”. Tutaj odbywają się też koncerty i spotkania, więc po zachodzie słońca siedzimy ze znajomymi przy winie i dobrej muzyce, kelnerka przynosi nam ogromne porcje placków z cukinii, a my już planujemy wspólne śniadanie. Najedzeni, udajemy się na spacer nad Wisłę. Głodni jedynie wrażeń, spragnieni tylko kultury.

Edie Maciejewska

PLEBISCYT PUBLICZNOŚCI

- „Ostatni w Aleppo” 4.68
- „Póki jest jasno” 4.61
- „Boski porządek” 4.53
- „Rumble” 4.47
- „Frantz” 4.43
- „Bobbi Jene” 4.14
- „Marina Abramovic w Brazylii” 4.09
- „21 x Nowy Jork” 3.82

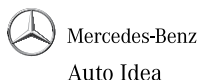
Partnerzy Generalni Festiwalu



Oficjalny Hotel Festiwalu

Oficjalny Samochód Festiwalu

Organizatorzy



Partnerzy

Partnerzy technologiczni



Patronat Medialny



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Województwo Lubelskie wspiera Festiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzegi
Projekt dofinansowano ze środków Programu Operacyjnego Fundusz Inicjatyw Obywatelskich
Wszystkie filmy prezentowane na festiwalu DWA BRZEGI pochodzą z legalnych źródeł kultury